

.....losy Pana Franciszka.....

Dzieje świata obfitują w wydarzenia, które w większym lub mniejszym stopniu wpłynęły na losy ludzi i ukształtowały obraz tych miejsc. Ciężko znaleźć skrawek ziemi, który nie miałaby zarysowanej własnej historii. Naszym obowiązkiem dzisiaj jest z dbałością gromadzić i przekazywać następnym pokoleniom historię ludzi i miejsc nam bliskich. Kultuwując pamięć o swojej okolicy i losach jej mieszkańców, dajemy świadectwo naszej szlachetności, świadomości własnych korzeni, więzi ze środowiskiem i dziedzictwem kulturowym.

W województwie zachodniopomorskim położona jest gmina Trzcińsko-Zdrój. Historia jej sięga bardzo odległych czasów, aż po Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Dzieje tych ziem spisane są w wielu książkach, broszurach i artykułach.

Są jednak ludzie, których przejmujące losy nie mają jeszcze kart zapisanych w książkach. Dzieje zwykłych rodzin przesiedlonych z różnych rejonów Europy, a szczególnie z dawnego pogranicza Polski – Kresów Wschodnich, znane jedynie z przekazów ustnych lub zapisane na kartkach brudnopisów, skrzętnie przechowywanych w rodzinnych dokumentach i pamiątkach. Taka żywa historia jest wzruszająca, bo pełna prawdziwych przeżyć.

„Gdy wybuchła wojna miałem 6 lat - wspomina Franciszek Bernacki, obecny mieszkaniec Trzcińska-Zdroju - mieszkałem z rodzicami w Chodaczkowie Wielkim w powiecie tarnopolskim, na wschodnich krańcach Rzeczypospolitej Polskiej. Wieś była duża, rozległa, liczyła ponad 3 tys. mieszkańców. W większości byli to Polacy, lecz również Ukraińcy, Żydzi, Niemcy i Czesi.

We wsi znajdowała się szkoła podstawowa siedmioklasowa, siedziba gminy, poczta, kościół katolicki i cerkiew - z dumą opowiada pan Franciszek- była też stacja kolejowa i lotnisko polowe. Wieś była podzielona na ulice. Budynek były w większości zbudowane z gliny na podbudowie kamiennej, kryte słomą.

Moi rodzice posiadali gospodarstwo rolne o powierzchni 6,30 morga (1 morg =0,56 ha), dom mieszkalny podpiwniczony, stodołę i oborę.

W 1940 roku poszedłem do szkoły, wspomina starszy Pan a w jego oczach kręczą się łzy. Nauka odbywała się głównie w języku rosyjskim. Nie można było kupić książek ani zeszytów. Rzekomo „dobra władza radziecka” dała zeszyty i ołówki za darmo, jednak kierownik szkoły zażądał wykonania za to jakiś prac w obejściu lub dostarczenia karmy dla królików (trawa, siano, zboże).

Były to ciężkie czasy - kontynuuje rozmówca po krótkim zamyśleniu -nie było pracy ani pieniędzy. Rozpoczęły się obowiązkowe dostawy żywności nałożone na rolników. Ich ilość zależna była od ilości posiadanych gruntów ornych. Wywiązałeś się z dostawy-otrzymałeś kartki do sklepu. Mogłeś za nie nabyć towar, niestety gorszej jakości, np. odtłuszczone mleko. Ludzie ukrywali zboże i inne produkty, za co groziły dotkliwe kary, zsyłki, a nawet śmierć.

W czerwcu 1941 roku Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji. Przez naszą wieś przechodziły wojska niemieckie. W ich szeregach znajdowali się żołnierze z Rumunii, Węgier i Czech. Ludność cywilna zmuszona była oglądać wyświetlany na budynku szkoły film o wojnie i zwycięstwach wojsk niemieckich nad sowieckimi.

W pierwszych miesiącach 1944 roku bojówkarze UPA (Ukraińskiej Powstańczej Armii) kilka razy dokonywali we wsi masakry ludności polskiej. Samoobrona, dysponująca bronią palną, zawzięcie odpierała ataki banderowców.

W kwietniu 1944r. Ukraińcy ponownie napadli na Chodaczków. Podpalali budynki a do piwnic wrzucali granaty. Strzelali do uciekających lub nie pozwalali wychodzić z płonących budynków. W ogień wrzucano żywcem dzieci, kobiety i starców- ze strachem w oczach relacjonuje pan Franciszek- Jako mały chłopak bałem się, że piwnica się zawali i wszystkich nas podusi, a było nas tam 12 osób. Wybiegłem na zewnątrz i zobaczyłem, że nasz dom się pali. Pobiegłem do kościoła, gdyż on się nie palił (był murowany i w pobliżu mieszkali Ukraińcy).Mój dziadek chciał wyprowadzić krowę z płonącej obory i został zastrzelony przez Ukraińców.

Ci, którzy ocalili chroniąc się w kościele i na plebani pochowali zmarłych w zbiorowej mogile obok kościoła. Zginęło wówczas około 800 osób.

Widziałem na własne oczy, jak ze studni wyciągnięto człowieka ze związanymi do tyłu rękoma i skrępowanymi nogami. Prawdopodobnie żywcem wrzucono go do wody. To było istne piekło... Nie dało się tam żyć- wspominającemu brakowało słów, milczał, po chwili mówił dalej. Po oficjalnym ogłoszeniu zakończenia wojny zaczęto nakłaniać Polaków do zrzeczenia się obywatelstwa polskiego, lub pisania prośby o przesiedlenie z „zachodniej Ukrainy” (tak wówczas nazywano tamte tereny) na terytorium Polski.

Ojciec napisał prośbę o przesiedlenie do Polski i podstawiono nam wagony do przewozu węgla, do których zapakowano po kilka rodzin wraz z dobytkiem (krowy, kozy, kury itp.). W naszym jechały cztery rodziny. Podróż trwała bardzo długo (od maja do sierpnia), gdyż w pierwszej kolejności przepuszczano powracające wojska i wyszabrowane w Niemczech łupy (maszyny, narzędzia, zwierzęta)

Dotarliśmy do stacji „Katowice-Ligota”. Tam kazano nam się wypakować i przez miesiąc koczowaliśmy na otwartym polu. Następnie ponownie zapakowano nas do wagonów i wieziono dalej. Po drodze widziałem jeńców niemieckich proszących o jedzenie.

Wreszcie dotarliśmy do Chojny. Miasto było bardzo zniszczone a w budynkach leżały rozkładające się trupy. Widok był okropny! Z Chojny furmankami przewieziono nas do wsi

Steineck obecnie Klasztorne. Pamiętam, że wzdłuż dróg rosły drzewa owocowe. To był raj... można było do woli jeść świeże owoce, a w 1945 drzewa owocowały obficie...

Kiedy przyjechaliśmy do Steineck, we wsi byli jeszcze Niemcy, którzy zostali przeniesieni do budynku gorzelnii, czekając na wywózkę.

Na szczęście w domach było wszystko, co potrzebne do życia. Trzeba było przede wszystkim zadbać o żywność dla rodzin. Czas letni sprzyjał. Na polach zostały jeszcze niezebrane plony. Bardzo ceniony był wówczas burak cukrowy. Miał on szerokie zastosowanie. Przygotowywano z niego brunatną, bardzo słodką ciecz z której robiono bimber. Robiono go na własny użytek ale przede wszystkim w celach handlowych.

Doczekaliśmy się własnego dachu nad głową- spokojnie już kontynuował rozmówca- teraz jedynie trzeba było solidnie wziąć się do pracy i rozpocząć gospodarowanie na nowych terenach. Ludzie pomagali sobie wzajemnie i wspólnie gospodarzyli. Kobiety piekły chleb na kilka dni, gdyż prawie w każdym domu był piec chlebowy. Później zaczęły się dostawy z UNRY.

W 1946 roku poszedłem do szkoły. Pamiętam pierwsze mapy pochodzące z Anglii, były to tzw. „ślepy”, na których zaznaczono granice, rzeki i miejscowości bez opisów. Uczyliśmy się liczyć za pomocą patyczków, później-liczydeł. W jednej klasie były dzieci różnych roczników. Uczyliśmy się języka francuskiego.

Po lekcjach biegłem do domu aby pomagać rodzicom w pracach polowych i przy obrzędku zwierząt. Nie myślało się o odrabianiu lekcji, przecież można było uczyć się pasąc krowy... takie były moje czasy dzieciństwa- kończy pan Franciszek- dziś mogę zapalić znicz na Grobie Nieznanego Żołnierza w hołdzie tym, którzy tam „zostali”.

Takie były losy człowieka, który musiał „walczyć” o życie w nieludzkich czasach. Przetrwał, wygrał życie, chociaż bagaż doświadczeń jest ogromny. Nie udźwignie go żaden wagon a nawet cały skład- jedynie człowiek.